



Przygody
rycerza
Jerzego

Cześć II
Jerzy i jego koń

Anna Borkowska



Przygody
rycerza
Jerzego

Cześć II

Jerzy i jego koń



TYNIEC

WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

Rysunki:
Bogumiła Czepiel OSB

Korekta:
Agnieszka Nieć

Imprimi potest: Opactwo Benedyktynów
L.dz. 232/2019, Tyniec, dnia 14.10.2019
† o. Szymon Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie pierwsze – Kraków 2020

ISBN 978-83-7354-988-3

© Copyright by Małgorzata Borkowska OSB
© Copyright by Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów
ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków
tel. +48 (12) 688-52-90, tel./fax: +48 (12) 688-52-95
e-mail: wydawnictwo@tyniec.com.pl
zamowienia@tyniec.com.pl
www.tyniec.com.pl

Druk i oprawa:
Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów
druk@tyniec.com.pl

Spis treści

Chatka na kurzych nóżkach

Droga we mgle	9
Problem konstytucyjny	23
Opowieść Baby Jagi	39
Kura szczęśliwa	43

Starzec z Gór

Obłąkana żebraczka	57
Kamienne wojsko	75
Sędziowie	93
Parada i przysięga	125
Biwak pośród paproci.	141
Pod Dziurawym Mostem	151
Tajemniczy pomnik	163

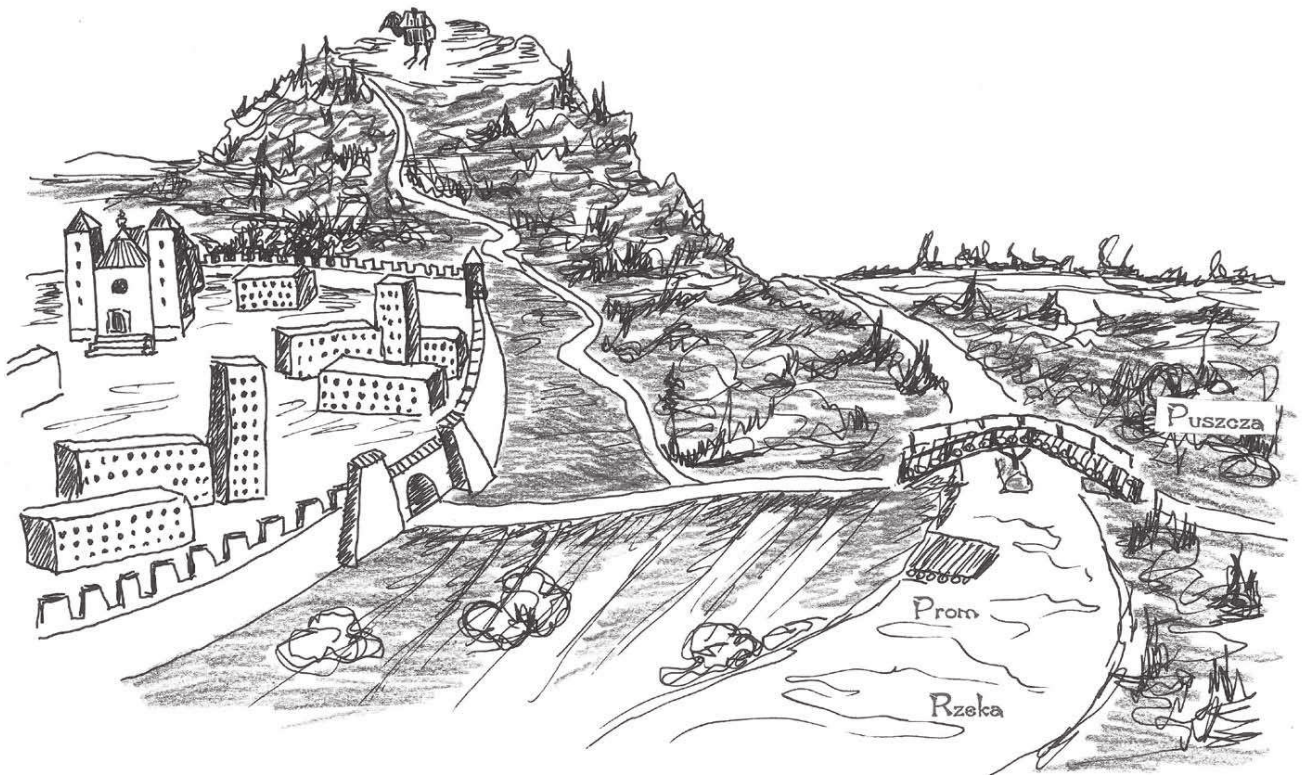
Smok i pierniki

Król w tarapatach	173
Cukrownik w tarapatach	181

Wiedźma w tarapatach	189
Płanetnicy w tarapatach.	201
Szeroki wachlarz usług	213
O autorze	221

**Chatka
na kurzych nóżkach**

STOLICA
ODMIEŃCA



Droga we mgle

Do krainy Odmieńca Jerzy trafił bez żadnego wezwania. Po prostu jechał na skróty i raz jeszcze sprawdziło się przysłowie, że kto drogi prostuje, w domu nie nocuje.

Z początku jednak podróż zapowiadała się szybka, prosta i wygodna. Jerzy znał kierunek, a kraj był równinny; dużo było cienistych lasów i drogi dobre, chociaż dosyć kręte. Może gdyby pogoda była słoneczna, rycerz przejechałby szybko i niczego niezwykłego nie zauważył; kierowałby się według słońca i nikogo by o drogę nie pytał. Ale było mgliście; wielkie krople wody wisiały na końcach sosnowych igieł i każda pajęczyna wydawała się gęstą białą szmatką. Jerzy przejechał granicę koło południa, wjechał w las – i po godzinie miał już wrażenie, że chyba krąży w kółko w wielkim garnku mleka, w którym tu i ówdzie pływają sosnowe gałęzie. I nigdzie żywej duszy! Rycerz wiedział, że jeśli zabłądzi, to może krążyć po lesie do wieczora i do żadnego krańca nie dojechać, o ile nie będzie się trzymał ściśle prostej linii; ale właśnie tej prostej linii nie mógł sobie wytyczyć wśród krętych ścieżek. Wobec tego zostawił wolną rękę, czy raczej wolne kopyto, swojemu koniowi, uważając go za mądrzejszego od siebie.

– No, Osmundzie – powiedział – teraz ty prowadzisz.
Ja już wykazałem swoją niekompetencję.



Koń nazywał się naprawdę Osmunda Regalis (co jest nazwą rodzaju ogromnej paproci, zwanej u nas długoszem królewskim), gdyż po pierwsze rzeczywiście kojarzył się Jerzemu z jej długimi, wąskimi, szorstkimi liśćmi; po drugie zaś było to imię brzmiące uroczyście, tak że nazywane nim zwierzę powinno było czuć się uczczone i docenione odpowiednio do swoich zasług. Na co dzień nazwa ta skracana była jednak na *Osmund*. Słyszając wyznanie bezradności swego pana, Osmund parsknął krótko raz i drugi, co miało znaczyć:

– Może byś mi najpierw powiedział, DOKĄD właściwie chcesz jechać?

– Najlepiej prosto jak strzelił na południowy zachód z dwustopniowym odchyleniem na południe – rzekł Jerzy uprzejmie. – Ale będę ci równie wdzięczny za dotarcie do jakiegokolwiek zamieszkałej polany, do skraju lasu albo do jakiegoś człowieka.

Koń spuścił głowę i zaczął skubać trawę z miną tak obojętną, jakby właśnie stanęli na popas. Tyle, że na popasie pozwoliliby sobie na beztroską, powolną wędrówkę od jednej większej kępy trawy do drugiej, a tu stał jakby wkopany wszystkimi czterema nogami w piasek drogi. Rycerz uśmiechnął się chytrze.

– Zawsze wątpiłem, czy klacz Arnika, która dziesięć lat temu wygrała Derby, była rzeczywiście twoją babką – powiedział. – Nie masz ani trochę jej zamiłowania do pędu!

Osmund zastrzygł tylko prawym uchem i dalej stał jak przyrośnięty do ziemi. Jerzy zaczął także nasłuchiwać: coś rzeczywiście zaszeleściło w niewidocznych we mgle choja-

rach. Trzeba było przyznać rację Osmundowi, który widocznie już poprzednio słyszał, że ktoś się zbliża. Rycerz ciągnął więc:

– ...Natomiast nie wątpię, że masz w rodowodzie przynajmniej dwa słonie, po których dziedziczysz czujność i rozsądek!

Koń poruszył tylko skórą na prawym barku, jakby spędzał łaskoczącą muchę. Znaczyło to:

– No, już dobrze, dobrze. Nie twoja wina, żeś głuchy, jak każdy człowiek.

Szelest powtórzył się. Koń i jeździec czekali bez ruchu i niewątpliwie przedstawiali zabawny widok. Jerzy był wysoki, ale chudy i lekko zbrojny, więc nie stanowił zbyt wielkiego ciężaru i konie dobierał sobie zwykle duże a lekkie; toteż gdyby ktoś chciał z nich obu zrobić model do pomnika, osiągnąłby największe podobieństwo, składając ten model z patyków. Potrzebowałby poza tym tylko kępy poźółkłej, zimowej trawy na czuprynę rycerza i drugiej takiej kępy, ale w smole umoczonej, na grzywę i ogon konia.

Taką więc żywą rzeźbę, dwóch wesołych chudzielców, jednego na drugim, ujrzała przed sobą kobiecina z koszem grzybów, która właśnie wyszła na ścieżkę. Cofnęła się przestraszona: nie ich wyglądem chyba, ale ich niespodziewanym pojawieniem się w lesie.

– Dzień dobry! – powiedział Jerzy. – Bardzo przepraszam, że panią niechcący przestraszyłem. Jak widzę, grzybobranie w pełnym toku?

I spojrzał odruchowo na koszyk, a wtedy oczy mu się zrobiły okrągłe jak dwa spodki. W koszyku, gdzie jesz-

cze przed chwilą – mógłby przysiąc! – były grzyby, teraz siedział najspokojniej żywy zając. Grzybów nie było ani śladu.

– Coś zawsze do domu przyniosę – zamamlała potakująco kobiecina, bezzębnymi najwyraźniej ustami. – A wyście, panie, nietutejsi?

– Tylko przejazdem... i właśnie zgubiłem drogę. Chciałbym się dostać do najbliższego miasta – powiedział Jerzy.

– Tak sobie właśnie myślałam ... Stoicie jak drewniany, he he... Życia w sobie nie macie, ot co! A do stolicy prosto. Zaraz będzie koniec lasu, pole kapusty, rzeka z mostem – i dalej już bita droga. Ze dwie mile wszystkiego: jak dobrze pójdzie, zdążycie na jutrzejszą koronację.

– Słyszysz, Osmundzie? Dwie mile będziesz szedł do jutra. To chyba bardzo marna ta bita droga, albo bardzo zatłoczona?

– A bo ja wiem? Nie byłam tam od wczoraj – odpowiedziała kobieta, prostując się. Przemoczona w wilgotnych chojarach chustka zsunęła się jej na ramiona, odsłaniając grube, dziewczęce warkocze. Uniesiona ku rycerzowi twarz załśniła rumieńcem, a w uśmiechniętych ustach nie brakowało na pewno ani jednego zęba.

– To i jedźcie, panie, jedźcie – zawołała – póki ta droga tam jest! – I potrząsnęła koszykiem, w którym teraz znajdowało się gniazdo gawronie pełne gawroniątek. Jerzego przeszedł dreszcz. Czary się go nie imały, ale nie lubił mieć do czynienia z czarownicami. Podziękował grzecznie i ruszył szybko, o co zresztą nie musiał konia długo prosić. Dwa pacierze nie minęły, a wypadli galopem na skraj lasu.

Po obu stronach drogi widniały rżyska, jeszcze niezaorane po niedawnym żniwie; ani śladu pola kapusty.

– Jakoś jednak musieliśmy zmylić drogę, nie zauważyć rozwidlenia, albo co – powiedział Jerzy. Koń położył uszy do tyłu, co jest oznaką gniewu. Jakby mówił:

– Może ty mogłeś przegapić, ale nie ja!

I schodząc na brzeg drogi, skubnął z pola coś chrupiącego. Jerzy spojrział i zdumiał się. Rżysko nie było rżyskiem, ale polem buraków pastewnych, a Osmund raczył się najspokojniej ich liśćmi.

– Na litość Boską! – zawołał rycerz – Czy w tym kraju nic nie jest sobą dłużej niż przez pięć minut?

– Prawie nic – odpowiedział mu jakiś głos we mgle. – Po mnie na przykład nie widać, że byłem królem, no nie?

Jerzy skierował konia z powrotem na drogę i po chwili stał już przed mówiącym. Miał przed sobą mężczyznę, którego wiek w pierwszej chwili określił na „około pięćdziesięciu lat”, po pół godzinie zaś przywykł, że jego nowy znajomy wygląda coraz to inaczej w granicach mniej więcej od czterdziestu lat do siedemdziesięciu. Strój jego zmieniał się także co do barwy i kroju, pozostając jednak przez cały czas obdarty. Nie ulegał natomiast żadnym zmianom kij z tarniny, którym eks-król podpierał się stojąc, i łapcie z lipowego łyka, które miał na nogach.

– Amarantus jestem – przedstawił się. – Koronę nosiłem jako Amarantus Dwieście Dziewiętnasty.

– Rycerz Jerzy, do usług waszej wysokości – odpowiedział rycerz, zeskakując z konia. W skoku zdążył pomyśleć, że trafił do państwa, w którym już co najmniej od kil-

ku tysięcy lat kronikarze spisują królów i w którym imię „Amarantus” musiało być używane przez jakąś szczególnie długotrwałą dynastię. Natychmiast jednak zapomniał o tej refleksji, gdyż w odpowiedzi na jego słowa Amarantus najnieobyczajniej parsknął śmiechem, jakby usłyszał świetny kawał.

– Bez ceremonii, proszę, panie rycerzu... he he he... bez ceremonii! Za dużo by jej było, jak dojdziemy do miasta! A co do zmian, to nie ulegają im drzewa i wszystko, co drewniane. Przynajmniej na razie. No i konie oczywiście, żaden czar nie chwyta się konia. A cała reszta owszem. Nawet nie próbuj się domyślać, co wiosną zasiano na tym polu! Może len? Albo marchewkę? Sieje się, co pod ręką, a zbiera się, na co się trafi. Je się, w co się akurat zmieni. To mi życie! To mi dobrobyt! W ten sposób niczego nikomu nie brak, bo nawet jeśli nie ma tego dzisiaj, na pewno będzie miał przez chwilę jutro!

– I zawsze tak u was było?

– Nie zawsze. Dopiero od dwóch pokoleń. Odkąd Mistrz u nas zamieszkał.

Amarantus wymówił ten tytuł z szacunkiem, którego poprzednio nie domagał się dla własnej minionej godności królewskiej. Jego głos przybrał ton uroczysty, a biała broda, która mu właśnie wyrosła, zwinęła się w eleganckie loki.

– Temu pokoleń pięć – zaczął, ale Jerzy przerwał natychmiast:

– Więc pięć czy dwa? Jak u was uczą historii?

– Historia także się zmienia – odpowiedział Amarantus niewzruszony. – Ale na użytek cudzoziemca stworzy-

my wersję pośrednią. Temu pokoleń *iks*, za rządów dynastii *igrek*, w naszym kraju zjawił się Mistrz. Zamieszkał w środku puszczy u bram stolicy –

– To u was stolica jest w puszczy?

– Raz tak, a raz nie. Sam przecież widzisz! Wtedy nie była, bo domy były drewniane. Mistrz nauczył nas budować domy z betonowych części, i odtąd stolica może być wszędzie... no, w pewnych granicach. Beton nie przesuwa się szybko. Chodźmy, bo się spóźnimy na jutrzejszą koronację!

I ruszył, podpierając się sękatym kijem; a ruszył tak szybko, że zniknął we mgle natychmiast. Jerzy wskoczył na konia.

– Osmunda Regalis! – zawołał. – Dogoń tego człowieka, bo mnie on się może wyślizgnąć!

Koń prychnął potakująco i nagle rzucił się w bok na przelaj, jakby był konikiem szachowym. Jerzy myślał, że wylądują w burakach, które zresztą były już teraz gryką, ale znaleźli się właśnie na drodze, tuż za plecami kroczącego szybko Amarantusa.

– Poczekajcie no, panie – powiedział rycerz. – W jaki sposób chcecie trafić do stolicy, skoro ona może być co dzień gdzie indziej?

– Bardzo proste – odrzekł Amarantus pogardliwie, wyraźnie zresztą niezadowolony, że go odnaleziono. – Idę tam, gdzie jej wczoraj nie było. Chodźcie za mną, to traficie i wy także.

– Prawdę mówiąc – odpowiedział Jerzy – to ja tam nie mam nic do roboty. Chciałem tylko przejechać przez wasz

kraj na przełaj, żeby sobie drogę skrócić. Już widzę, że to był kiepski pomysł; i teraz zależy mi tylko na tym, żeby dotrzeć jak najszybciej do granicy. Którejkolwiek!

– Zdumiewające, jak ci półmartwi cudzoziemcy boją się pełni życia – zaczął Amarantus, ale w tej chwili we mgle przed nimi jakiś głos zaśpiewał:

– Nic nie dorówna tej szczęśliwej chwili,

Gdy mi na skronie koronę włożyli!

Skro, skro, skronie!

W ko, ko-ronie!

Cóż stąd, że portki rozdarte na sęku?

Miałem koronę, miałem berło w ręku!

Skro, skro, skronie!

W ko, ko-ronie!

– Ej! – zawołał Amarantus radośnie – to chyba będzie Stefan Tysiąc Dwieście Czterdziesty Ósmy! Ste–fan! Stee–fan! Dla odmiany! Kopę lat!

I po chwili Jerzy miał już przed sobą dwóch obdartych włóczęgów, ściskających się serdecznie i wymieniających wiadomości i dobre rady.

– Dla odmiany! Dla odmiany!

– Stary, nie było cię tyle czasu!

– Wracasz z wczorajszej, co?

– A pewnie. Na dzisiejszą już nie zdążysz, ale na jutrzejszą w sam raz.

– Zawróć ze mną, Stefciu, i chodź także!

– A czemu nie? Dla odmiany!

I po chwili ruszyli już we trzech do stolicy. Tak Amarantus CCXIX, jak i Stefan MCCXLVIII, gadali przez całą

drogę między sobą, nie ustając ani na chwilę i nie zwracając żadnej uwagi na rycerza; Amarantus wydawał się nawet trochę zawstydzony, że przyjaciel zastał go w takiej kompanii. Ich paplanina po godzinie tak już znużyła Jerzego, że dostał bólu głowy; niemniej zdołał się zorientować całkiem nieźle w zwyczajach przemierzanego kraju.

Koronacja odbywała się tam codziennie, gdyż codziennie obierano przez losowanie nowego króla, a każdy król zaczynał panowanie od koronacji – no i na niej też jednodniowe rządy kończył. Kto w takim razie w ogóle krajem rządził, nie mógł się rycerz domyślić: najprawdopodobniej nikt. Ludzie siali byle co, nosili byle co, mieszkali byle gdzie – zawsze w nadziei, że to, co zasiali lub włożyli na siebie, zmieni się samo w coś lepszego; ale wygląd obu włóczęgów zdawał się świadczyć, że zmieniało się zwykle raczej na gorsze. Wszyscy jednak krzyczeli i śpiewali głośno, jak bardzo są szczęśliwi, jak nareszcie czują, że żyją (bo życie to odmiana, a zastój to śmierć) i jak szczerze kochają Mistrza, który ich tego nauczył.

Co do tego Mistrza, Jerzy bardzo szybko doszedł do wniosku, że jest to po prostu odmieniec, tylko o wyjątkowej mocy. Rycerz spotykał już i przedtem odmienie, jak dotąd jednak były to zawsze odmienie wodne, udające na zmianę to gęś, to rusałkę, żeby od przesądnych kmiotków wyłudzić coś do zjedzenia. Poza własnym kształtem nic zmieniać nie potrafiły. Ten najwyraźniej potrafił; i miał zgoła mocarstwowe ambicje. W dodatku widocznie był lądowy, przystosowany do życia wśród ludzi... Tu refleksje Jerzego otrzymały potwierdzenie, gdyż wędrowcy dotarli nad rzekę, o której

wspominała spotkana w lesie kobieta. Przez tę rzekę prowadził drewniany most: drewniany, a więc niezmienny, i nie dość, że stosunkowo nowy, ale nawet właśnie remontowany. Gromada wychudłych obdartusów uwijała się, wbijając drewnianymi młotami drewniane kołki; jakieś zwierzęta, może pierwotnie woły (ale zmieniające się co chwila to w psy, to w świnie, to w gromady kaczek) ciągnęły belki i deski. Od ludzi do kaczek wszystko było zagłodzone i obszarpane. I wszystko wrzeszczało: zwierzęta swoimi różnymi głosami, ludzie zaś wołali ciągle: „Dla odmiany! Dla odmiany!” – co widocznie służyło za pozdrowienie, zachętę i okrzyk patriotyczny. Wchodząc na most, Stefan i Amaranthus wyprzedzili rycerza o parę kroków i udawali, że go nie widzą; Jerzy domyślił się, że to z powodu konia, zwierzęcia niepodlegającego zmianom, a więc w tym państwie niepopularnego. A może i zgoła zakazanego! Jeżeli jednak ci zwariowani ludzie chcieli wbrew swoim najświętszym przekonaniom o konieczności ciągłych odmian mieć przez rzekę przejście niezmiennie i pewne, to najwyraźniej ich „Mistrz” wpoił im własną swoją nieufność do wody. Musiał być więc odmieńcem lądowym, unikającym starannie wszelkiego z wodą kontaktu; niewykluczone, że wrzucony do niej straciłby całą moc, jak traci ją odmieniec wodny wyciągnięty na ląd. Jerzy rozmyślał o tym wszystkim dość obojętnie: nikt go tutaj nie prosił o interwencję ani o ratunek, i rycerz nie chciał wdawać się w nie swoje sprawy, zwłaszcza że inne wołanie nagliło. Jeżeli już po pierwszym spotkaniu z Amaranthem nie zawrócił po własnych śladach, to tylko dlatego, że ufał rozsądkowi swojego konia.

– Osmundzie... znajdziesz drogę na przełaj, prawda? Znajdziesz?

Koń kiwał głową. Tymczasem dojechali na drugi brzeg rzeki, bardzo zresztą szerokiej, gdzie rycerz zauważył stary, drewniany prom. Widocznie most zbudowano całkiem niedawno, bo prom był jeszcze zupełnie zdatny do użytku, chociaż zostawiono go bezmyślnie w wodzie, by zgnił, nie wyciągając na brzeg, a tylko przymocowując go na łańcuchu do kołka. Zaraz za rzeką zaroilo się od wędrowców, i Jerzy spostrzegł, że im dalej w głąb kraju (czy może im bliżej do stolicy), tym ludzie są bardziej zabiedzeni, ale i wrzaskliwsi. Nie trudno było domyślić się, że gdy mieszkający daleko pracowali mimo wszystko w jakiejś mierze na swoje utrzymanie, mieszkający w centrum żyli głównie z uczt koronacyjnych. Zapewne stali nad misami i saganami, czekając, aż wrzucona w nie trawa zamieni się w homara w majonezie; ich wygląd jednak nie pozwalał mniemać, że im się to często zdarzało.

Do stolicy dotarł Jerzy pod wieczór, w dużym tłumie, w którym dawno mu się już zgubili obaj spotkani na początku eks-królowie, i w którym zresztą – jak się domyślał – musiało być co najmniej tyluż takich, którzy już kiedyś mieli koronę na głowie, co takich, którzy jej jeszcze nie mieli. Jeżeli po każdym roku zostawało trzystu sześćdziesięciu pięciu byłych królów, to nic dziwnego, że nawet człowiek o tak rzadkim imieniu jak „Amarantus” był już dwieście któryś! Także i ten domysł rycerza potwierdził się po chwili, kiedy okazało się, że w bramie miasta każdy wchodzący musi podać swe imię; toteż czekając na swoją kolej

Jerzy słyszał tyleż mniej więcej imion z numerami, co i bez. Zauważył też, że imiona bez numerów były zapisywane na innej liście niż imiona z numerami.

Gdy wreszcie sam stanął w przejściu, został wbrew spodziewaniu powitany bardzo radośnie:

– Cudzoziemiec, ech? Dla odmiany! Jak wasze imię, panie?

– Jerzy. Jestem tylko przejazdem i szukam gospody – odpowiedział.

– Wchodźcie, wchodźcie! U nas prawo jednakowe dla swoich i dla obcych! Następny! Dla odmiany, następny!

Jerzy w tej zagadkowej uwadze o prawie dopatrzył się jakiejś groźby dla swojego konia, zaraz jednak po wjechaniu do miasta obaj z Osmundem utonęli w tłumie, w którym nikt na nich nie zwracał uwagi. Wszędzie trwała uczta koronacyjna, a wyglądała tak właśnie, jak można się było spodziewać. Wielkie, bezładne blokowisko nie miało ulic, tylko nieregularne place, po których kłębił się tłum, poszukujący przysmaków. Gospody żadnej nie było nigdzie widać, i po godzinie Jerzy doszedł do wniosku, że pewnie żadnej nie ma; niby dla kogo? Na jednym z placów ujrzał z daleka nowo koronowanego króla na wysokiej trybunie pod nieczytelnym już w półmroku transparentem; właśnie zapalano pochodnie koło jego osoby, ale rycerz pojechał dalej, nieciekawym ani widoku króla, ani treści transparentu. Była już pełna noc, kiedy wreszcie Osmund dotarł do przeciwległej bramy miasta. Niestety – już zamkniętej. Nocować trzeba było w murach. Koń ruszył nieco w bok i po chwili stanął przed małym drewnianym kościółkiem, ukry-

tym w załomie muru. Choć zamknięty na głucho, kościółek ten wydał się Jerzemu przystanią obiecującą wszelkie bezpieczeństwo; rycerz zdecydował się więc przenocować na jego schodach.

– Chcesz owsa, Osmunda Regalis?

Koń parsknął końskim śmiechem. Po drodze zająrzył do niejednego sagana, wyciągając to, co akurat nie interesowało ludzi, a dla niego pachniało ponętnie. Nie, nie chciał owsa, chciał tylko wody i znalazł ją w głębokiej kałuży pod wylotem rynny. Zasypiając, Jerzy zdążył jeszcze pomyśleć, że dzięki przemyślności Osmunda worek owsa (w który zaopatrzyli się w ostatniej gospodzie) pozostał nienaruszony na jutro.